

Relacja k o m b a t a n t a , którą złożył
Stanisław MICHNIEWICZ - pseudonim "Żbik" - urodzony
30 października 1916 r w Czarnym Dunajcu /woj. krakowskie/
Posiada wykształcenie średnie - ogólnokształcące.
Za-wód - księgowy. W czasie II Wojny Światowej - nauczy-
ciel w Szkole Podstawowej we wsi Stawna /pow. Zborów, woj.
Tarnopol - tera-z w granicach ZSRR/ i księgowy w tartaku
i młyni~~e~~wodny-m w Rozhadowie koło Pomorzian /powiat Zborów/

Wstępem do mojego udziału w zbrojnych zmaganiach dla
obrony Rzeczypospolitej było ukończenie Kursu Podchorążych
Rezerwy przy 54 Pułku Piechoty Ciężkich Karabinów Maszyno-
wych w Tarnopolu, znajdującym się obecnie w granicach
ZSRR.

Dnia 7 września 1939 roku, bezpośrednio z czynnej
służby wojskowej, zostałem skierowany na front w IV ba-
talionie III komp-anii, jako dowódca plutonu.

Ws-kutek bombardowania linii kolejowej przez lotnict-
wo niemieckie, mój batalion musiał pieszo przedzierać się
na za-chód, w kierunku frontu, przez lasy w rejonie Jano-
wa Lubelskiego.

W trakcie marszu ostrzeliwała nas V Kolumna / czyli
Niemcy, którzy zamieszkiwali w Polsce w okresie między-
wojennym /. Przymuszczałnie, ona właśnie naprowadziła do-
wództwo niemieckie na nasze miejsce postoju. To umożliwi-
ło wrogowi zaskoczenie nas w czasie snu.

Batalion, ostrzelany wczesnym rankiem przez niemiec-
~~ką artylerię~~ kę artylerię, poniósł ogromne straty w lu-
dzi-ach, sprzęcie i taborze wojskowym. Podczas tej masakry
pociski roztrza-skały również przydzieloną mi białkę ~~ixkx~~
~~rix~~ z ciężkim ka-rabinem maszynowym i ciągnącego ją konia.
Wówczas, wraz z innymi, pozostałymi przy życiu towarzysza-
mi broni, zostałem wzięty do niewoli.

Nocowaliśmy w kościele i na otaczającym go cmentarzu
w Janowie Lubelskim. Z tego Janowa do Łańcuta szliśmy pie-
szo, po drodze żywić się karpielami. Potem Niemcy załado-
wa-li nas w towarowe wagony na stacji w Łańcutie.

Mnie udało się wejść do budki, w której, na szczęście, pełnił służbę polski kolejarz. W czasie jazdy w kierunku Rzeszy Niemieckiej zaryzykowałem wyskoczenie z pociągu, będącego w biegu, niedaleko Krakowa.

Przebrany w cywilne ubranie, użyczone przez miejscowego chłopca, zawędrowałem do Lwowa. Tam zatrzymałem się na krótko u rodziny, poczym dotarłem do Pomorzana /woj. tarnopolskie /, mojego miejsca zamieszkania.

W Pomorzana-ch na ochotnika wstąpiłem do Armii Krajowej. Rekomendował mnie dowódca kompanii Marian Niżankowski kometant obwodu Armii Krajowej - Zborów.

Jako zastępca dowódcy kompanii, od sierpnia 1941 do maja 1944 roku, zajmowałem się werbunkiem ochotników do Armii Krajowej, kolportowaniem nielegalnej prasy, redagowaniem przez polskie podziemie, a ponadto - drobnymi aktami sabotażu i dywersji na liniach komunikacyjnych i w łączności. Wielce niebezpieczne było również dane mi do wypełnienia zadanie organizowania samoobrony przed napadami band U.P.A., banderowców.

Bandy te grasowały m.in w Pomorzana-ch i okolicy, bezlitośnie mordując Polaków.

W tym czasie pracowałem w charakterze kierownika i zarazem księgowego w tartaku, należącym przed wojną do hrabiego Jerzego Potockiego, a pod okupacją - do tzw Liegenschaftu, w Rozhadowie koło Pomorzana.

Pewnego razu, gdy wracałem do domu, wpadłem w ręce ukraińskich partyzantów, występujących w niemieckich mundurach. Cudem wtedy uniknąłem śmierci. Dobrze znając język ukraiński, powiedziałem bowiem, że jestem nauczycielem z Rozhadowa, a z a m i e j s c o w i partyzanci w to uwierzyli. Spodziewali się, że się do nich przyłączę.

Byłem świadkiem, jak został przez tę bandę zastrzelony szef Liegenschaftu i jak rabowała z pałacu broń i konie. Jednego z wierzchowców dano mi do przytrzymania. Wykorzystałem sprzyjającą okoliczność, że koń, spłoszony strzelaniną, wycofywał się w stronę ciszy poza dziedziniec pałacowy i uciekłem do pobliskiego lasu.

Nazajutrz, w obawie przed napadem bandy niemieckich Ukraińców, wraz z bratem swym, Franciszkiem, schroniłem się w domu starych, emerytowanych nauczycielek, pań: Arctówny i Sadowskiej. W tym czasie banda U.P.A. napadła na mój dom rodzinny, w którym przebywała tylko matka. Ograniczono ~~się~~ się do zrabowania naszego mienia.

Po tym zdarzeniu, wiedząc, że dalsze pozostawanie w tych stronach równałoby się utracie życia, wraz z bratem uciekłem do rodziny we Lwowie. W dniu, w którym został tam przez ukraińską policję zastrzelony mój kuzyn, u którego zamieszkałem, uciekłem ze Lwowa do Warszawy, chroniąc się pod opiekę drugiego kuzyna.

Był to inżynier Kazimierz Michniewicz, w owym czasie współwłaściciel Domu Handlowego, mieszczącego się przy ul. Marszałkowskiej 123. Wiem, że część dochodu ze sprzedaży towarów kuzyn ten przeznaczał na finansowanie polskiego podziemia antyhitlerowskiego.

Tak~~że~~ oto, od maja 1944 roku mieszkałem u wspomnianego kuzyna przy ul. Boduena 5 i zostałem zatrudniony w charakterze magazyniera w tymże Domu Handlowym.

W zbrojnym powstaniu przeciwko faszystowskiemu okupantowi uczestniczyłem od początku, czyli od sierpnia 1944 roku do końca, to jest do dnia kapitulacji, pod pseudonimem ~~Żbik~~ "Żbik". Awansowano mnie do stopnia podporucznika i przydzielono do Szefostwa Okręgu Saperów, Okręg Warszawa-Śródmieście, pod dowództwem kapitana Józefa Pszennego.

Moim zadaniem było osłanianie minerów, dokonujących wyłomów w murach tych obiektów, w których się bronili Niemcy. Konwojowałem pirotechników /niemieckich jeńców wojennych/, zatrudnianych przy rozbrajaniu niewypałów.

Niesamowitą grozę wzbudził niewypał wielkości człowieka, wbity w podłogę na IV piętrze jakiejś kamienicy. Pełni strachu jeńcy owi znieśli go na kocach i pod moją strażą unieszkodliwili.

Terenie działania mojego oddziału obejmował ulice śródmieścia, m.in. Hożą, Żurawią, Aleje Jerozolimskie... Nocami patrolowaliśmy barykady, za którymi tkwili zdekowani Niemcy.

Jedną z dodatkowych udręk powstania stanowił dotkliwy głód. Dla jego zaspokojenia zjadaliśmy dorożkarskie konie, a tak-że gołębie i psy. Widziałem, jak pewnej paniusi, niosącej dobrze utuczonego jamnika, pomimo jej łez i błagań zabrano psa na powstańcze pożywienie.

Pamiętnym sukcesem w tych warunkach było zdobycie mąkazy z płatkami owsianymi, suszonymi ziemniakami i cukrem. Z konieczności jednak, worki z cukrem służyły czasem dla zabezpieczania barykad.

Tylko alkoholu było w bród lecz nie widziałem żadnej pijatki i żadnej osoby pijanej - taka panowała powstańcza dyscyplina. Z braku wody, alkohol używaliśmy do mycia się,

Pamiętam, że niekiedy nadlatywały małe samoloty, tzw. kukuźniczki ra-dzieckie, zrzucające powstańcom broń i s-c-h-a-r-y. Przejmował je ten, kto szybciej dotarł do tej zdobyczy - żołnierze Armii Krajowej, bądź też - Armii Ludowej.

Kiedyś dźwigałem zdobyczny wór z żywnością dla swego oddziału. W pewnej chwili poczułem silne szarpnięcie workiem i usłyszałem świst odłamka pocisku artyleryjskiego. Po dotarciu do kwatery ze zdziwieniem stwierdziłem, że worek jest rozdarty odłamkiem pocisku, który dzięki tej ochronie z jądła nie raził mnie w plecy.

Któregoś dnia, w samo południe, nadleciała eskadra alianckich samolotów, czyniąc zrzuty na spadochronach z kontenerami, imitującymi desant ludzki. Niedoświadczeni młodzieńcy spieszyli się z dotarciem na dachy kamienic sądząc, że to lądują sprzymierzeńcy. Snajperzy niemieccy zbierali wówczas, niestety, obfite żniwo śmierci...

Martwych - ofiary powstania - grzebaliśmy tam, gdzie poległi, kładąc na mogiłkach prowizoryczne krzyże z dykty i tabliczki z dykty - nekrologi.

Szał radości ogarnął nas, kiedy - w trakcie powstania - nad Warszawą zaczęły powiewać polskie flagi. Cieszyliśmy się, że umiłowane miasto, pomimo straszliwych okaleczeń, nadal pozostaje stolicą kraju.

Pamiętam, że któregoś dnia pojawiło się wśród nas dwóch sp-a-d-ochroniarzy radzieckich. Jednemu z nich spadochron za-ha-czył się o balkon i były perturbacje z niesieniem ra-t-unk-u. Żołnierze z ogromnym podziwem dla bohaterstwa Polaków stwierdzili, że ta walka, to nie przelewki, przyznając : "Ach, ale tutaj u was gorąco!" Pod osłoną nocy ukat-wiono im przeprawę przez Wisłę do stacjonującej tam Armii Radzieckiej.

Po kapitulacji Powstania Warszawskiego zostałem wzięty do niewol-i niemieckiej. Początkowo, ~~do~~ 20 października 1944 roku p-rze-bywałem w Stalagu XI.B w Falingbostel. Później p-rze-nies-iono mnie do Oflagu X.C w Lubece. Gnębił nas tam stras-z-liwy głód, chłód i wszy. Dla zaoszczędzenia kalorii r-e-z-ygnowaliśmy nawet ze spacerów k dookoła baraków. Gdy-b-y nie p-a-czki z prowiantem, które od czasu do czasu na-ds-ył-ał Międzynarodowy Czerwony Krzyż, kto wie czy bym p-rze-żył do czasu wyzwolenia.

Mój numer jeniecki: O 1605. W oflagu dotrwałem do chwili wy-z-wol-enia prze-z wojska alianckie /armia Montgomery'ego/ w ma-ju 1945 roku. Świadectwem mojego pobytu w tych obozach je-st l-e-gitymacja nume-r 68 161, wydana przez Polskie Siły Zbrojne w języku polskim i angielskim. Znaczkę pocztową do kores-pondencji między-obozowej przekazałem na pamiątkę do z-bi-orów Muzeum Martyrologii w Łambinowicach koło Nysy.

Wy-korzystując czas niewoli, uczyłem się księgowości i języka angielskiego. To pierwsze przydało mi się w okre-sie powojennym do wykonywania zawodu na stanowisku głównego księgowego.

Spośród współuczestników Powstania Warszawskiego i po-b-y-tu w jenieckich obozach najbardziej zapamiętałem osobę Jan-a Kona-rskiego /brunet w okularach/, warszawiaka z uro-dzenia , z którym się zaprzyjaźniłem i z którym ramię w ra-mię przetrwałem powstanie i niewolę.

Od kiedy front zaczął się przesuwac z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód, obóz nasz stał się obozem wędrownym. Podczas noclegów w stodołach pocieszał nas w swoich wystę-p-ami znany aktor scen polskich Tadeusz Fijewski.

Pewnego razu przy takiej okazji zawałiła się przede mną p-owała i wpadłem do obory, pomiędzy byki. Do przybycia gospodarza z odsieczą, desperacko zasłaniałem się, dla ochrony, snopem zboża. Od tej pory koledzy nazywali mnie toreadorem.

Na postojach Niemcy dawali nam na pożywienie ziemniaki z parnikó-w dla świń. Przezywali nas "gangsterami z Warszawy". Magnesem, wyzwalającym resztki sił, były docierające niekiedy wieści, że gdzieś tam, na dziesiątym kilometrze, są do odebrania paczki żywnościowe z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Spieszyliśmy do tych miejscowości z radosnym śpiewaniem tak prędko, że niemieccy wachmani odstawali z kolumny, nie mogąc nadążyć.

Koniec wojny witaliśmy entuzjastycznie.

Nie uległem silnym naciskom i propagandzie ze strony k-ół p-rozachodnich. Zdecydowałem się na powrót do Ojczyzny, by nadal ~~sz~~ jej służyć i uczestniczyć w jej odbudowie.

W dniu 7 maja 1946 roku wróciłem do kraju, osiedlając się w Prudniku /woj.opolskie/. Tutaj uczciwie pracowałem jako główny księgowy w spółdzielczości pracy aż do emerytury, czyli do 30 czerwca 1978 roku. Wraz z żoną wychowaliśmy czworo dzieci i już się doczekaliśmy sześciorga wnucząt.

Pracuję społecznie. W latach sześćdziesiątych przez dwie kadencje byłem radnym Miejskiej Rady Narodowej w Prudniku. W tym też czasie udzielałem się w Komisji Ekonomicznej przy Komitecie Miejskim PZPR, a od roku 1983, jako członek Zarządu Koła Nr 1 Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Prudniku, pełnię funkcję skarbnika i jestem w Komisji Weryfikacyjnej.

Pomimo bardzo ciężkich przeżyć, związanych z walką wyzwoleńczą, jestem rad, że dane mi było w niej uczestniczyć i, że mam osobisty wkład w odzyskanie wolnej Rzeczypospolitej. Cieszę się, że dzieje walki i wrażeń represji, poświęcone odpowiednimi dokumentami, będącymi w moim posiadaniu, zostały społecznie uznane w postaci przyznanych mi odznaczeń. Mam, mianowicie, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Medal za Wojnę Obrońną w 1939 roku, Krzyż Partyzancki, Krzyż Powstania Warszawskiego.

Polsce, Ojczyźnie mojej, cześć!

Prudnik, 1987.06.06.

Relację złożył Stanisław Michniewicz
48-200 Prudnik, ul. Dąbrowskiego 8, tel. 5974

Relację spisał emerytowana redaktor Wiesława Rejnsón
skrytka pocztowa 723 80-958 Gdańsk 50